Nr. 15. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 13 Kwietnia 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O PRZEKŁADACH.

Napisała

Eliza Orzeszkowa.

Ostatnie dziesiątki lat naszego wieku obfitują w tak zwane kwestje; roztrząsają je wszyscy, którym nie obce i nie obojętne sprawy i dążenia ludzkości; do ostatecznego rozstrzygnięcia ich nie doszedł pono dotąd nikt.

Wprawdzie całe życie człowieka na ziemi, moralna a poniekąd i fizyczna jego istota są także kwestją, ale ta wielka i powszechna kwestja rozpada się na mnóstwo pomniejszych, czasowych, miejscowych, a nawet osobistych. Każdy dziesiątek lat, każdy niemal rok i dzień mają swoje kwestje; — ma swoje każdy naród, gród, każda gmina i pojedyńcza jednostka wpatrująca się bacznie i z uwagą w powikłane pasmo własnych uczuć, myśli i przeznaczeń. Stosunki narodów pomiędzy sobą i narodów do rządów, rozmiary swobód przynależnych gminie i jednostce, sposób wymierzania sprawiedliwości nad winowajcami, kierunek w jakim kształcone być mają umysły i charaktery młodych pokoleń, równowaga dobrobytu i oświaty pomiędzy rozlicznemi stanami składającemi ogół społeczności, równość obu płci w obec praw do nauki i pracy, a to rozliczne punkta w istnieniu ludzkości, w których kryją się i sfinksowemi oczami wyglądają na świat tak zwane kwestje.

W dziedzinie filozofji mamy kwestję materji i ducha, dedukcji i indukcji, metafizyki i umiejętności ścisłych, pozytywizmu i idealizmu; w obrębie polityki prawa narodów z prawami podboju, przepisy sprawiedliwości i szczerości z prawami wojen i prawidłami dyplomacji, czyli uczciwość z rabunkiem, wspaniałomyślność i prawość z gwałtem i obłudą ważą się dotąd na szali słusznych rozumowań i występnych sofizmatów umiejących przyodziewać się szatą słuszności; w ekonomji kapitał i praca, monopol i swoboda handlu, własność wielka i mała, zbytek z jednéj strony a nędza z innéj tworzą groźne kwestje; pedagogja waha się z rozstrzygnieniem swojem pomiędzy wychowaniem klasycznem a realnem, humanitarnem a utylitarnem; estetyka nie wypowiedziała ostatniego słowa, czy sztuka znajdować ma w sobie saméj cel swój jedyny i ostateczny, czy też szukać go powinna gdzieindziéj i czy artysta tworząc dzieło piękności pięknością tylko darzyć ogół winien lub też wiązać w nią jeszcze pojęcie użyteczności; w stosunkach społecznych nakoniec widzimy kwestję ludową, rodzinną i kobiecą, któréj to ostatniéj roztrząsaniu i badaniu, jeśli ktokolwiek oddaje się pilnie i długo poczuwa wielką chęć i niejako potrzebę wytworzenia i przed sąd ludzkości wystawienia kwestji męzkiéj, w któréjby roztrząśniętém i zbadaném zostało, ażali naprawdę Twórca świata rodowi męzkiemu po wiek wieków oddał monopol nauki i pożytecznéj pracy z pokrzywdzeniem płci drugiéj i ażali naprawdę wszyscy mężczyźni dowodzący nieudolności kobiet do prac poważnych spełniają je sami jak należy i lękający się zepsucia charakterów kobiecych w skutek nadanych im praw do oświaty i pracy nie ulegają sami zepsuciu, ile razy tylko z praw tych korzystać nie chcą lub nie mogą.

Na dnie każdéj z tych rozlicznych i różnorodnych kwestji spoczywa jakaś zapoznana prawda, zgwałcona sprawiedliwość, niezadowolniona potrzeba. Ta prawda, ta sprawiedliwość, ta potrzeba nurtują ducha ludzkości lub wstrząsają podwalinami fizycznego jéj bytu, dopominając się o uznanie i zadośćuczynienie. Uznać to co długo zapoznaném było, zadośćuczynić temu co pokryło się rdzą długowiekowych krzywd, rozjaśnić i uwyraźnić to co wychyla się dopiero z łona społeczeństw nieśmiało

i słabo — robota to trudna i wielce złożona. Ścierają się tu pojęcia i interesy, niedowiarstwo i łatwowierność; oziębłość i namiętność staczają bój zawzięty. Ztąd twierdzenia i przeczenia, pożądania i obawy, popychania i wstrzymywania, ztąd różnice zdań i żądań, a więc — kwestje.

Pesymiści patrzący na świat przez szkło zaczernione sadzą z ich własnego najczęściéj wnętrza zaczerpniętą i skeptycy, którzy nie walczą z wątpliwościami, aby od nich stałe przekonania wywalczyć, ale lubują się niemi jak miękką poduszką, na któréj słodko jest spać lenistwu i samolubstwu, tacy pesymiści i skeptycy mogą z politowaniem podobném do wzgardy, z niedowiarstwem bliskiém stanowczego przeczenia spoglądać na tę syzyfową robotę ludzkości z krwawym trudem i w pocie czoła dobijającéj się szczęścia i prawdy. Ale człowiek dobréj wiary i woli, mający oczy do patrzenia, serce do kochania a głowę nie do spania na poduszce skeptycyzmu, lecz do uczenia się i myślenia, w bojach tych i wysileniach, w tym warze uczuć i pochodzie pojęć ujrzeć musi konieczne prawo ruchu władające wszystkiém co żyje, jedyną nadzieję poprawienia tego co złe, jedyną rękojmię a zarazem najwyraźniejsze świadectwo postępu.

Być może iż absolutne dobro nie zostanie nigdy naszym udziałem, że wzrokiem ducha nie sięgniemy nigdy absolutnéj prawdy tak jak oczami ciała nie ujrzymy mieszkańców Jowisza. Mamyż przeto zakładać ręce i zamykać oczy? Nie mogąc stać się Archaniołami, mamyż przeto zostać Fakirami? Mamyż przestać chodzić dla tego, że niepodobna nam latać i zaniedbać nabywania wiedzy dla tego, że o wszystkiém co było przed wiekami wieków i co istnieje w przestrzeniach przestrzeni wiedzieć nie będziemy nigdy? Co do mnie jestem zdania, że ktokolwiek zamyka oczy i zakłada ręce czyni tak dla tego, że mu się spać chce a pracować nie chce; ponieważ jednak spanie w biały dzień nie jest przyzwoitym ani powszechnie przyjętym zwyczajem jako wymówka przedstawia się wygodny sofizmat: „Jesteśmi nieudolni...... Na nędzę naszą rady niema...... idee nasze to mrzonki, postęp — złudzenia, wysilenia i boje — wojny z wiatrakami!“ Sofizmat taki wymawia się z westchnieniem, co nadaje mu pozór sławnego Weltschmercu. Mnie się jednak zdaje, że Weltschmercy napadają tylko próżniaków i samolubów, niekiedy także bywają one chorobą wielkich umysłów i serc gorących, ale wtedy tylko gdy umysły te i serca nie zapoznane dobrze z naturą świata, ludzi i własną zboczą z drogi nakreślonéj trzeźwym rozumem i pojęciem o obowiązkach człowieka, który cierpieć musi, wątpić może, ale szukać szczęścia i prawdy powinien.

Dążenie do ideału, pożądanie go jest najpiękniejszym atrybutem natury człowieka, odgraniczającym go stanowczo od reszty istot organicznych, żyjących, z których nie mało znajduje się obdarzonych rozumem, pamięcią, pewną nawet summą uczuć i woli, ale żadna nie sięga po za najbliżéj otaczającą rzeczywistość. Jeden tylko człowiek obdarzony jest siłą dźwigania się, która pozwala mu podnosić się coraz wyżéj w pochodzie ku doskonałości a pobudza do powstawania z upadku — i tą drugą jeszcze siłą wnikania za pomocą, któréj przenika on formę zewnętrzną, aby ujrzeć treść i jądro rzeczy, z za szeregu następstw dostrzega przyczynę, w chaosie zastosowań i zboczeń rozróżnia zasadę.

Bogaty w dwie te siły dźwigania się i wnikania człowiek uczy się, kształci, wzrasta, wynajduje przyczyny i zasady, otrząsa je z pyłu zboczeń i błędów i śród wszelkich zjawisk zewnętrznych, powikłanych, spruchniałych, rodzących się i umierających dopytuje się, dobaduje, szuka — ideału.

Ideał w urządzeniu państwa, gminy i rodziny, w stosunkach ludzi pomiędzy sobą i ludzi do Boga, ideał cnoty, szczęścia, sprawiedliwości, miłości ogólnéj i pojedyńczéj — oto za czem goni ludzkość najszlachetniejszemi porywami swemi, z ogromną summą trudów i walk. Usiłuje ona słowem stworzyć doskonały wyraz saméj siebie, tego wszystkiego do czego jest zdolną, czem stać się, czego używać i co zdziałać chce i może. Czy wielkie przewroty religijne, polityczne i społeczne, które w ciągu dziejów powtarzały się nieraz na różnych punktach przestrzeni i czasu nie miały źródła w téj właśnie wewnętrznéj robocie rozpierającéj łono ludzkości spragnione ideału? Zmieniały się religje, rządy, prawodawstwa i obyczaje, ludzkość odrzuciła je z kolei, bo nie znajdywała w nich doskonałego wyrazu saméj siebie. Czy te rozliczne kwestje, które zajmują dziś i pochłaniają tysiące wielkich umysłów i serc szlachetnych, nie są także wytworem ducha ludzkiego ścigającego prawdę i szczęście, nićmi z których powikłanego pasma ludzkość wyplątać pragnie i usiłuje — ideał?

Kwestji tych przecież rozciąć jednym zamachem miecza nakształ gordyjskiego węzła niepodobna. W kraju naszym dawano niegdyś młodéj oblubienicy mającéj nazajutrz iść do ślubnego ołtarza pasmo splątanego jedwabiu, aby je rozwikłała.

Czy wysokich zagadnień filozoficznych, politycznych, społecznych nie możnaby porównać do splątanych pasem uczuć, porywów, pojęć i wyobrażeń, do których rozwikłania dąży ludzkość w przeddzień zaślubin z ideałem?

Pod wyrazem ludzkość rozumiem tu ludy, które dosięgły już pewnego stopnia oświaty i samopoznania. Inne są dopiéro materjałem przeznaczonym zapewne do utworzenia w przyszłości szeregu nowych i świeżych pracowników.

Tymczasem ludy mniéj więcéj oświecone i należące do hierarchji cywilizacyjnych godności na jakiemkolwiekby zresztą stopniu téj hierarchji umieszczonemi były, wspólnemi siłami podejmują ową wielką pracę. Powiedziałam wspólnemi siłami, bo w tém znaczeniu przeważnie a może jedynie należy rozumieć braterstwo i solidarność narodów.

Względy, które z łatwością pojętemi i ocenionemi być mogą przez każdego, nie pozwalają mi tu rozszerzać się nad punktem widzenia, z jakiego patrzę na kosmopolityzm i nad zdaniem mojém o téj doktrynie powszechnéj miłości, która jeśliby podobną była do sprawdzenia, co na szczęście nie jest, sprowadziłaby niezawodnie powszechną oziębłość. Powiem tylko, że kosmopolityzm podobnie jak komunizm wydaje mi się majaczeniem powstałem zrazu z umysłów entuzjastycznych i wspaniałomyślnych, lecz chorych i nielogicznych, a przyjętem późniéj jako wygodne palladium od wszelkich ofiar, strat i cierpień przez ludzi oschłych, obłudnych, chciwych, leniwych i tchórzliwych. Przed stu jeszcze laty Jan Jakób Rousseau napisał, że: niejeden udaje zapalczywą miłość dla Eskimosów, aby nabyć przez to prawo niekochania swoich sąsiadów. I to jest wielką prawdą. Ile razy wymawiam lub kreślę wyraz kosmopolityzm, przychodzi mi téż na pamięć jedna z najwyborniejszych powieściowych figur Dickensa, pewna młoda dama angielska, która dnie i noce przepędzając nad wymyślaniem sposobów udoskonalenia afrykańskiéj kolonji małych Murzynów w Bariabola-Gha, nie widziała dzieci własnych spadających ze wszystkich schodów, tłukących sobie czoła i nosy, umierających prawie z głodu i zaniedbania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

(Dalszy ciąg.)

III. Niepokoje wśród ciszy.

— Kolega mówisz jakbyś nie znał naszéj świętéj wiary. — Ta dziewczyna zyskałaby łaskę boską, dary Ducha św., zbawienie wieczne — a tak dusza jéj zgubioną. —

— Zgubioną — powtórzył proboszcz i uśmiech łagodny, pobłażliwy przeleciał po jego twarzy. — Odpowiem ci na to księże Albinie zapytaniem: co pierwéj Bóg dał ludziom, rodzinę czy religję?

— To niczego nie dowodzi. —

— Owszém; to ważne w naszéj dyspucie. Miljony ludzi przez tysiące lat obywać się musiały i dziś się obywają bez słowa Ewangielji — a bez rodziny nigdzie i nigdy. — Rodzina to pierwszy, najsilniejszy spójnik ludzi. Rozwiąż rodzinę — społeczeństwo padnie; ludzkość zamieni się w zwierzęcą gromadę. — Fanatyzm religijny prowadził często ludzkość na bezdroża, walki i obłędy — poszanowanie związków rodzinnych ratowało ją zawsze i podnosiło. — Dla tego nie chciałem, aby ta dziewczyna zrywała związki rodzinne, nie miałem odwagi puścić ją w świat pod opieką religji, którahy jéj może nie wystarczyła za jedno słowo jéj matki i uścisk ojca. — Powiedz mi księże Albinie, jakiem czołem mógłbym uczyć tę dziewczynę prawd i przepisów naszéj wiary, kiedyby one były w rażącéj sprzeczności z tem, coby robić musiała. — Jak mógłbym uczyć ją słów: czcij ojca i matkę twoją, gdy równocześnie musiałbym jéj mówić, aby nie uczciła ich woli, aby ich porzuciła, zatruła ich starość i zabiła szczęście. —

— Gdyby pierwsi apostołowie tak rozumować chcieli, jak kolega, do dziś dnia nawet wieść o religji Chrystusa zaginęłaby między ludźmi. —

— W to nie wierzę. Religja nasza ma zasady wzniosłe i piękne, które górują nad wszystkiemi innemi religjami. Jest w nich siła atrakcyjna, siła boska i ta siła pociągać musiała ludzi do siebie i dziśby pociągała, gdyby wyznawcy téj religji żyli podług jéj przepisów; ale tego nie ma. — Największym propagatorem naszéj religji byłby dobry przykład, ale tego nam brak. — Chrześcijanie, żyjemy jak poganie; nauka Chrystusa jest w uściech naszych, ale nie w sercu ani w czynie. Zamieńmy słowa Chrystusa w czyn — a nie trzeba będzie ani miecza, ani namowy do nawracania. Innowiercy garnąć się będą do téj religji, bo w niéj widzieć będą szczęście ludzkości. — Człowieka zziębniętego nie trzeba namawiać i gwałtem ciągnąć do ciepłéj izdebki — sam tam poleci. Tak samo ma się z religją — garnąć się do niéj będą; — ale niech ta religja da w istocie ludziom ciepło i schronienie. —

— Mowa wasza trąci herezją. Kościół inaczéj naucza i kościoła jako jedynéj powagi w tym względzie trzymać się muszę. Dysputować nie chcę. Chciałem tylko ostrzedz kolegę, że złą drogą idzie; przekonać się o prawdzie tego, co mówią o was. — Skoro sami przyznajecie się do tego, więc wątpić nie mogę. — Kolega nie weźmie mi za złe, że z obowiązku mego jako kapłan będę musiał o tém uwiadomić wyższe władze duchowne, bo tu idzie o sprawę religji. —

— Rób księże Albinie, jak uważasz za dobre. Ja czynności moich się nie zapieram i wszędzie zdam z nich śmiało rachunek. —

Tu powstali. Ksiądz Albin wziął kapelusz i laskę i zabierał się do odejścia.

— Bogu was zostawiam — rzekł. — Ja na waszą intencję odprawię mszą świętą, by Pan Bóg zmienił myśli wasze. —

Ksiądz proboszcz nic nie odpowiedział — spojrzał tylko z politowaniem na mówiącego i odprowadził go do mostku. Tu się rozstali. —

Kiedy ksiądz Albin przechodził przez cmentarzyk, od kościoła wysunął się jakiś staruszek w oliwkowym, wytartym surducie, pocałował go w rękę i rzekł:

— Mam pokorną prośbę do księdza dobrodzieja. —

— Nie mam nic przy sobie — odrzekł ksiądz — niech Bóg opatrzy. Fundusze, które mi dziedziczka zostawiła wyczerpały się — czekajcie na nią, niezadługo sama przyjedzie. —

— Nie o jałmużnę chciałem prosić księdza dobrodzieja.

— A o cóż takiego mój przyjacielu? —

— Chciałem prosić o wpisanie do bractwa „drabiny.“ —

— A któż wy jesteście?

— Jestem szwagier księdza proboszcza. —

— Może ojciec téj siostrzenicy? —

— Tak. —

— I czemuż do mnie z tém idziecie? Czyż nie macie tu dosyć nabożeństwa? —

— E! takie nabożeństwo — rzekł staruszek i machnął ręką. —

— Ależ ksiądz proboszcz może mieć urazę do mnie, że nawet z jego domu ściągam wiernych do siebie. —

— Pierwszy Pan Bóg, jak on. — Zbawienie duszy więcéj mi znaczy, jak gniew jego. —

— Ha, kiedy takie w was silne pragnienie słowa bożego — to przyjdźcie do mnie jutro — wpiszę was do bractwa. —

— Zrobił krzyż nad głową staruszka schylającego się do jego kolan i pogładziwszy go po siwych włosach poszedł daléj. Na twarzy jego malowało się zadowolnienie z pozyskania téj duszy Bogu. —

3. Spotkanie.

Staruszkiem tym tak spragnionym nabożeństwa księdza Albina był, jak się zapewne czytelnicy domyślili, znajomy nasz skrzypek od Sperla. Od półtora miesiąca bawił on już na plebanji. — Przyjechał tu z obawą i nieśmiałością, nie wiedział, jakie będzie pierwsze jego spotkanie z księdzem, względem którego tyle zawinił. — Nad spodziewanie ksiądz okazał się dla niego uprzejmym; ani słowem, ani twarzą nie dał mu poznać wstrętu lub pogardy; przyjął go nadzwyczaj serdecznie lubo poważnie. Ta milcząca dobroć więcéj upokorzyła staruszka, niżby to mogły zrobić wyrzuty i surowość. Czuł się zwyciężonym, zdeptanym — i zamiast wdzięczności, rozbudziła się w jego sercu jakaś niechęć do swego dobroczyńcy. Jest to dziwny, ale prawdziwy rys w naturze ludzkiéj, że wszelka wyższość czy to moralna, czy fizyczna musi mieć swoich nieprzyjaciół. Ludzie

oddają cześć tym, co im wyrośli nad głowy; ale to cześć wymuszona, sztuczna. Niech tylko ta wielkość nieco się pochyli, potknie w życiu, a ci, co przed nią zginali karków, błotem ją obrzucą. — Tém się tłomaczą owe nagłe upadki ludzi, którzy kiedyś byli bożyszczami ludu. Lud jest bez litości dla upadłych wielkości, mści się na nich za to, że kiedyś wielbić je musiał, prześladuje je i często dopiéro grób zasłania je przed tém prześladowaniem. — Bo ludzie nie lubią być zwyciężani choćby cnotą i szlachetnością. —

— Coś podobnego, lubo na małą skalę, powtórzyło się w duszy starego grajka. Szlachetność księdza urągała mu, bodła go, raziła go jak światło oczy puszczyka i uczuł niechęć i pewien rodzaj zawiści do niego. Do zwiększenia téj niechęci niemało także przyczyniła się ta okoliczność, że stary Majer przyjechawszy na łaskawy chleb do księdza miał nadzieję, że będzie pędził życie wygodne, spokojne, bez troski i pracy; tymczasem ksiądz proboszcz, który nie znosił próżnowania, wyznaczył mu zaraz zatrudnienie. Wychodził on z téj zasady, że każdy o ile umie i może pracować powinien dla siebie i drugich, że człowiek który nic nie robi, obraża społeczeństwo, bo żywi się kosztem pracy drugich. To sumienne pojęcie obowiązków życia było powodem, że zaraz w pierwszych dniach wyznaczył Majerowi dozór przy gospodarstwie i pomaganie mu w uczeniu dzieci wiejskich. — Majer, którego rzemiosło muzyczne było po części próżnowaniem, niekontent był z tego zatrudnienia, męczyło go ono i nudziło. — Zdawało mu się, że ksiądz wziął go do siebie z potrzeby, a nie z litości, że żałuje mu kawałka chleba i dla tego każe mu ciężko nań pracować. — Począł żałować, że opuścił Wiedeń, gdzie także musiał pracować, a nie tak ciężko i mozolnie. — Był coraz więcéj niezadowolniony, kwaśny i uprzedzony przeciw księdzu. Wszystko to, co on robił zdawało mu się złem i choć pozornie był mu posłusznym, — w duszy buntował się przeciw jego rozkazom i radom — z upodobaniem szukał ciemnych plam w nieskazitelném postępowaniu jego. — Nie mogąc wyszukać innych, czepił się tych, które gromada dopatrzyła w księdzu proboszczu t. j. braku religijności. Widząc jak ksiądz mało oddaje się praktykom religijnym, stary grajek przez samą niechęć ku niemu począł oddawać się nabożeństwu. Przesadzoną gorliwością religijną chciał niejako wyrzucać księdzu jego obojętność w tym względzie, chciał pokazać się lepszym od niego. Tym sposobem także miał łatwy powód uwolnienia się od obowiązków nałożonych mu przez księdza. — Godziny całe trawił na klęczkach na odmawianiu pacierzy, śpiewaniu litanji, nie opuszczał żadnego odpustu w okolicy; słowem oddał się cały dewocji. Żarliwość ta wkrótce przeszła u niego w nałóg, namiętność, fanatyzm, którym się chlubił i był dumnym z niego. — Na uwagi księdza, który jego religijność nazywał odmienną formą próżniactwa i nakłaniał go do zajęcia się obowiązkami, odpowiadał słowami pisma św. z przeświadczeniem o wyższości swojéj i słuszności swego postępowania. — Kiedy n. p. ksiądz wyrzucał mu, że zaniedbuje gospodarstwo lub że dzieci powierzone jego pieczy zostawia bez dozoru, stary Majer z pokorą pełną dumy odpowiadał:

— Tam gdzie idzie o zbawienie duszy i chwałę boską — sprawy świeckie ustąpić powinny. — A ja jestem w wieku, w którym więcéj już człowiek o niebie, jak o ziemi myśléć powinien. — Królestwo Boże nie jest z tego świata. —

Na takie świątobliwe cytaty ksiądz ruszał ramionami i odchodził w milczeniu, przypisując dewocję staruszka wiekowi. Grajek to milczące ustępstwo brał za tryumf, czuł w duszy dumne zadowolnienie z tego, że księdza proboszcza przewyższył w gorliwości religijnéj i stawał się codzień ekscentryczniejszym w dewocji, coraz nowe wymyślał ćwiczenia w wierze katolickiéj. Drabina cnót chrześcijańskich wykoncypowana przez księdza Albina zachwyciła go, pragnął co najprędzéj należeć do tego bractwa i dla tego dowiedziawszy się o bytności księdza na plebanji, czatował na niego, by go prosić o wpisanie do bractwa. — Na drugi dzień już w kaplicy zamkowéj klęczał przed drabiną i śpiewał z wiernymi godzinki. — Odtąd dnie całe przepędzał tam na modlitwie — na plebanję wracał tylko dla pożywienia — i dla córki. Córka była jedynym prawie węzłem łączącym go z plebanją. Pomimo niechęci, jaką czuł dla księdza proboszcza, musiał mu być wdzięcznym za opiekę, którą córka jego znajdowała. — Nie miał już dziś powodu niepokojenia się o jéj przyszłość, obawiania się złych pokus dla jéj młodości. Opieka i prawy charakter wuja dawały starcowi zupełną gwarancję w tym względzie.

Anetka również czuła się bardzo szczęśliwą i zadowolnioną w wiejskiéj ustroni. Dla niéj, żyjącéj przez lat tyle w gwarze i ruchu wielkiego miasta, przyzwyczajonéj do ciasnych ulic, dużych gmachów — wieś miała urok nowości. Zmiana dekoracji bawiła ją i zachwycała. Anetka dotąd nieznała prawie tych uroków, jakie ma wieś i wiosna. Wiosnę znała ze zieleniejących się kasztanów i lip Prateru lub Volksgartenu — Schönbruńskie strzyżone szpalery także nie mogły jéj dać wyobrażenia o piękności natury. Dopiéro tutaj zobaczyła je w całéj pełni i w nieskalanéj dziewiczości. To też wszystko ją bawiło i zajmowało — i kurczątko, co w żółtym puszku wyskakiwało z jajka i kwiatek rozwijający się na grządce ogrodowéj i parów obsypany jak śniegiem pachnącym kwiatem i lasy obciągające się na wiosnę świeżą zielonością — i szeroki krajobraz z ogromną przestrzenią nieba. — Anetka oddawała się tym wszystkim przyjemnościom i urokom wiosny z całą duszą; więcéj, niż tego życzyła sobie stara, koścista Marta, gospodyni księdza proboszcza, któréj opiece powierzono młodą dziewczynę. — Ta chciała ją jak najprędzéj zaprządz do pracy, do gospodarskich zajęć. Sama gospodarna, ruchliwa i skrzętna nie lubiła widzieć kogo siedzącego z założonemi rękami bez zajęcia, lub nawet z książką w ręku. — Czytanie uważała Marta także za rodzaj próżnowania, którego sobie tylko panowie lub tak poważni ludzie jak ksiądz proboszcz pozwalać mogą. Dla panny szycie, haftowanie, zajęcie przy kuchni lub w ogródku warzywnym uważała za najstosowniejsze — i tym trybem chciała poprowadzić Anetkę. — Ale ta z oporem postępowała za jéj radami; skłonniejszą była do czytania, rozmyślań, niż do drobiazgowéj pracy. Samotność, w któréj żyła w Wiedniu zostawiana po całych dniach przez ojca, wpłynęła bardzo na rozmarzenie jéj duszy. Fantazja była jedyną jéj towarzyszką wtedy — i towarzystwo to nie zostało bez wpływu. Anetka żyła więcéj marzeniami, niż uczuciami, przymuszona sztukować sobie braki życia tworami wyobraźni — utonęła zbytnie w tym świecie złudzeń i marzeń; — w życiu była niepraktyczną i nieradną. Ubóstwo zmuszało ją do pracy; ale pracowała o tyle tylko, by nędzę odpędzić od drzwi. Praca wśród samotności była machinalną, ręce ją odbywały — głowa marzyła. — Teraz, kiedy opieka księdza zasłaniała ją od ubóstwa, puściła wodze wyobraźni i karmiła ją książkami z bibljoteczki ks. proboszcza. Szczególniéj miała upodobanie w czytaniu podróży, opisów fantastycznych i wydarzeń niezwyczajnych. Gderania staréj Marty, która niechętnie patrzała na to, zamiast odstraszyć ją, zachęcały jeszcze bardziéj do czytania. Książka jako zakazany owoc miała dla niéj jeszcze więcéj uroku; wymykała się na czytanie do ogródka, jakby na schadzkę miłosną a dla uśpienia czujności Marty brała ze sobą robótkę, która jednak najczęściéj spoczywała na jéj ko-

lanach, podczas gdy Anetka trawiła czas na czytaniu. Marta nie długo jednak dała się w ten sposób oszukiwać; kilka razy złapała ją w ogrodzie na gorącym uczynku. Konfiskowała wtedy książkę bez litości i Anetkę zapędzała do roboty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA UKRAINIE.

W dalszym ciągu podajemy dziś ustęp z aktu III. Wzburzone chłopstwo wre zemstą przeciw panom, zagrzewa go chłop i ajent rządowy, reflektuje starszyzna kozacza. Z pięknéj téj sceny ludowéj wyjmujemy opowiadanie starego Tarasa, którém chce uspokoić wzburzone namiętności gromady.

Taras.

Nie wielu z was pamięta już starego pana —
Niech światłość mu tam świeci! — pana kasztelana...
A była to żelazna dusza, jakich mało, —
I wiele krwawych łez na pamięć jéj spływało.
Po ojcu dostał on tę włość, jak raj na ziemi —
Prześlicznych dwieście chat z sadami zielonemi,
Gdzie grusze i jabłonie po sto lat wzrastały,
Gdyż rody ojcowizny swojéj pilnowały;
Te same im służyły pola i pastwiska,
Te same w ciągu wieków chaty i śmieciska
Wnuczęta zasiadały pod tém samém drzewem,
Co niegdyś babkom ich słowiczym brzmiało śpiewem.
I żaden pewnieby nie pożałował głowy
Za dom swój i za wieś — ten ul pokoleniowy.
Wtém pan zamyślił jakieś w gospodarstwie zmiany —
I w jednéj chwili zburzył raj nasz ukochany.
Niedobrym wydał mu się pozór naszych chatek,
Choć z okien ich jaśniało szczęście i dostatek,
A każda w wieńcu swym zielonym wyglądała,
Jak pośród liści drzew korona kwiecia biała.
Więc powziął nagle myśl wyrównać je w szeregi
I pooczyszczać z domków naszych stawu brzegi.
Gdy wieść ta doszła do nas, wszystkie serca jękły;
Na niewiast płacz kamienie zdajeby się zmiękły...
On nie zmiękł... twarde serce było w tym człowieku!
Nie uszanował gniazd, gdzie naród żył od wieku!
Motyka, rydel, topór dokonały dzieła:
Lecz cała wieś szalonym gniewem zapłonęła;
Nasiono zemsty w duszach kiełkowało głucho; —
Wiedzieliśmy, że to nie ujdzie mu na sucho.
Na łowach raz mu kołpak rysi przestrzelono;
Podkopywano most na którym jeździł z żoną;
Dwa razy podpalano w noc jesienną gumna..
Lecz pogardziła zemstą chłopska dusza dumna...
Zamachy wszystkie na nas samych w końcu spadły...
Niejedno serce zaszło krwią, a lice zbladły...
Dwunastu najdzielniejszych poszło gnić w rekruty;
Dziewięciu Sybir pożarł, trzech zabiły knuty...
Tymczasem wieś stroiła się, wzrastały mury...
Lecz po nad niemi zawisł jakiś duch ponury:
Wesołość, spokój, szczęście, wszystko gdzieś uciekło,
A w czołach zgiętych wrzało nienawiści piekło.
I któż na tyle nieszczęść byłby obojętny!...
I mojém sercem zatrząsł gniew i żal namiętny...
I ja pomiędzy skazanymi miałem brata,
Któregom widział w dybach i pod piętném kata.
Więc rozpaliła się pożarem zemsty dusza, —
A pożar ten na końcu krwi pożądać zmusza.
Pewnego dnia w południe skwarne byłem w młynie.
Wracając, słyszę krzyk: „Tarasie!“ — Człek nie minie
Swojego przeznaczenia... patrzę: pan na brzegu...
— „Tarasie!“ — drugi raz. Stanąłem przed nim w biegu
I drżę jak liść, a w duchu myślę: ot, już po mnie...
Tymczasem on wskazuje łódź i mówi do mnie,
Ażebym przewiózł go na drugi koniec sioła,
Gdzie niegdyś tok był kasztelański i stodoła.
Po chwili w czołnie drobném byliśmy na stawie...
Wtém dziwny jakiś stan ogarnął mię na jawie:
Jak łuny nocnéj blask na płaszczu obłokowym,
Tak cały staw zajaśniał światłem purpurowém.
Z płomiennych fal wyjrzały tłumnie ludzkie mary:
Wpatruję się — poznaję pańskich rąk ofiary;
A wszystkie łańcuchami kajdan swych wstrząsają,
I wszystkie z jękiem głuchym: „pomścij nas!“ wołają.
Olśniło mię widzenie krwawe... Osłupiałem...
Po chwili jednak już postanowienie miałem,
Straszliwa myśl opanowała mię od razu,
I serce moje stało się jak bryła głazu.
A właśnie byliśmy natenczas na głębinie,
Na środku stawu... Nikt, jak wiecie, nie dopłynie
Do brzegu ztamtąd... Zresztą pływać pan nie umiał.
Wstrzymałem się — spojrzałem tylko — on zrozumiał!...
Poznałem to z połysku oczu niepewnego,
Z uśmiechu bladych ust, z zadrgnienia ręki jego.
Więc powiedziałem tylko: — „tutaj śmierć nam obu!
— „Czy tak?“ odmruknął. — „Tak! i ja tu umrę z tobą.
Przygotuj się... O Bogu myśl!“ — Podumał chwilę —
A był to człowiek duży, dzielny, w wieku sile...
Nie chciało mu się żegnać świat w połowie drogi: —
Więc zaczął mówić... Mówił zimno i bez trwogi:
Wystawiał użyteczność zmian, które porobił,
Jak przez nie wioskę naszą podniósł i ozdobił;
Jak nieraz jątrzył go nasz opór bezrozumny,
Co płacił mu za dobro jego groźbą trumny;
Jak najwinniejszych karać musiał dla nauki;
Jak pamięć jego poczczą kiedyś nasze wnuki...
Słuchałem, lecz jak kamień zimny pozostałem —
I tylko: — „spiesz się... pacierz mów!“ — odpowiedziałem.
„Tyś chłopskich, prostych dusz nie uszanował, panie...
Podeptał je, pokrwawił.. Ja ci płacę za nie.“
Natenczas on naprawić wszystko obiecywał,
Najwymowniejszych słów z pod serca gdzieś dobywał;
Przyrzekał wolność mnie i wszystkim moim krewnym...
A z oczu strach mu patrzył blady z bólem gniewnym:
Upadek ducha łamał się z postawą hardą...
Jam milczał wciąż i uśmiechałem się z pogardą.
On westchnął, jakby godząc się ze swoim losem;
A potém patrząc na mnie, cichym wyrzekł głosem:
„Czy masz ty dzieci?“ — „Mam.“ — „Czyś płakał ty nad niemi,
Jak ja w téj chwili?... spojrz!... miéj litość nad mojemi!“
Spojrzałem — prawda — płakał... To mię pokonało —
Gdyż ojcem byłem sam... Kasztelan wyszedł cało.

Reduta Ordona

przez

Dr. Artura Wołyńskiego.

(Ciąg dalszy.)

Z czasu pobytu w Szkocji winniśmy zanotować żywy udział Ordona w agitacjach, jakie w 1835 r. skutkiem zabrania przez Moskwę okrętu „Vixen" miały miejsce w całéj Anglji. Rzecz tak się miała: rząd angielski dla podtrzymywania walki Czerkiesów na Kaukazie, wysłał im w darze na kupieckim okręcie Vixen broń, amunicję i inne przybory wojenne. Cały ten transport, który już prawie dobijał brzegów Kaukazu, Moskale przytrzymali i mimo energicznych domagań się gabinetu St. James, wydać nic chcieli. Skutkiem tego powstało w Anglji wielkie wzburzenie, opinja publiczna domagała się wojny, od jakiéj rząd nie był dalekim, bo dał już rozkaz swéj flocie, aby trzymała się w pogotowiu do wypłynięcia na morze. Dla podtrzymania agitacji i wywołania patrjotycznego entuzjazmu Anglików, dziennikarstwo, a w pewnym stopniu i samo ministerjum, poruszało sprawę polską i bardzo żywo zaczęło się zajmować naszą emigracją, która w téj zawierusze mającéj wywołać wojnę z Moskwą, upatrując jutrzenkę poranną dla sprawy naszéj, energicznie wzięła się do dzieła, jakie wówczas było na czasie. Z tego to powodu książę Adam Czartoryski zjechał do Anglji i w różnych większych miastach zwoływał meetingi, na których żywo była traktowaną sprawa Polski. Jeden z takich meetingów miał miejsce i w Edymburgu, na którym Ordon jako władający dobrze językiem angielskim miał przemowę do Anglików, przyjętą hucznemi oklaski tychże, a z powszechném uznaniem i zadowoleniem naszych. Niestety wkrótce rzeczy inny wzięły obrot i na chwilę rozentuzjazmowani synowie Albionu spokojnie do swych warsztatów i przędzalni powrócili, bo Moskwa chcąc zażegnać grożącą jéj burzę, zaspokoiła żądania Anglików, sowicie nagradzając wszelkie pretensje właściciela statku „Vixen."

Teraz znowu powracamy do przerwanego nieco życiorysu, a przepraszając czytelników za rozrywanie ich uwagi różnemi szczegółami, tuszymy sobie nadzieję, że zechcą wybaczyć naszą rozwlekłość i drobiazgowość, które innego nie mają celu, oprócz przekazania przyszłości jak najwięcéj szczegółów historji narodowéj dotyczących.

Gdy powstanie w Wielk. Ks. Poznańskiém wybuchło i wieść o niém doszła naszego Ordona, natychmiast po załatwieniu własnych interesów w maju 1848 roku do kraju puścił się w drogę na Paryż, aby tam zaopatrzyć się w potrzebne mu dokumenta. Przybywszy do Berlina tak od ks. Adama Czartoryskiego, z którym się był poznał w Edymburgu, jak od innych rodaków dowiedział się wprawdzie o upadku powstania poznańskiego, ale wraz z innymi żywił jeszcze nadzieję, że sprawa narodowa pomyślny weźmie obrót. Nie ziściły się jednak nadzieje, bo rząd pruski pomyślnie stłumiwszy powstanie na prowincji, jął się, jak zwykle w podobnych razach bywa, reakcyjnego i represyjnego systemu i zaczął robić liczne aresztowania w całém państwie, a szczególniéj w Berlinie. Pomiędzy aresztowanymi niemal pierwsze miejsce trzymał nasz Ordon, któremu jednak wraz z majorem Łaskim uczniowie uniwersytetu ułatwili ucieczkę z więzienia i dopomogli do wyjazdu do Hamburga, gdzie oddawna brat jego Józef był się osiedlił. Trzeba bowiem wiedzieć, że Józef Ordon po zaaresztowaniu go w Lipsku, wraz z innymi wychodźcami z Krakowa był wysłanym do Triestu, zkąd na okręcie rządowym miał być wywiezionym do Ameryki. Gorliwe starania hrabiny Krasińskiéj uwolniły go od téj zamorskiéj exportacji i wyrobiły mu paszport do Hamburga, gdzie otworzył najpierw wielki zakład handlowy, a po upadku tego był urzędnikiem na kolei aż do śmierci, która w 1852 r. nastąpiła. Po kilkutygodniowym wypoczynku w domu swego brata wraz z majorem Łaskim, który późniéj umarł w wojsku tureckim, wyjechał do Medjolanu z myślą wstąpienia do legjonu polskiego, jaki pułkownik Kamiński na obronę zrzucającéj jarzmo austrjackie Lombardji nieco pierwéj był uformował. Ponieważ kadry oficerów były już zapełnione, Ordon wstąpił do ochotników lombardzkich jenerała Antoniniego, którzy po cofnięciu się do Piemontu zostali do armji sabaudzkiéj wcieleni. Tym sposobem nasz Ordon dostał się do artylerji sabaudzkiéj i dekretem Karola Alberta dnia 24 października 1848 r. został tamże mianowanym podporucznikiem. Na tym stopniu Ordon odbył w 1849 roku drugą kampanję Karola Alberta przeciw Austrji i miał udział w bitwach pod Mortarą i Nowarą, gdzie tylko przytomnością umysłu uszedł niewoli austrjackiéj i ocalił swą sekcję artylerji, która podczas bitwy była wysłaną na najbardziéj wysuniętą pozycję.

Od tego czasu aż do r. 1855 nic ważnego w życiu Ordona nie zaszło, i tylko dwa fakta z całéj téj epoki godne są wspomnienia, mianowicie że otrzymał medal za dwie kampanje i że dekretem Wiktora Emanuela dnia 8 lutego 1851 r. został posunięty na porucznika artylerji.

Nim zaczniemy opowiadać dalszy ciąg biograficznych wypadków naszego bohatera, musimy cofnąć się nieco w przeszłość i opowiedzieć niektóre fakta mające z pierwszemi związek. Po wybuchu wojny moskiewsko-tureckiéj, wpierwéj nim zachodnie mocarstwa: Anglja, Francja i Sabaudja w nią się wmięszały i zapewniły zwycięztwo orężowi sułtańskiemu, emigracja polska postanowiła wziąść w niéj czynny udział i stanąć po stronie Turcji, dawnéj aliantki Polski w ostatnich jéj egzystencji politycznéj wojnach z Moskwą. Dobre zrozumienie rzeczy i patrjotyzm nakazywały naszéj emigracji zajęcie podobnego w téj sprawie stanowiska, albowiem udział w wojnie z Moskwą, jeżeli nie dawał sposobności podniesienia i rozwiązania sprawy polskiéj, to przynajmniéj przyczyniał się do upokorzenia i osłabienia naszego najokrutniejszego i najzaciętszego wroga.

Jakoż w rzeczy saméj znany zaszczytnie w naszéj literaturze belletrystycznéj Michał Czajkowski a w służbie tureckiéj noszący nazwisko Sadyka-Paszy, już w 1852 zajął się formowaniem tak zwanych „Kozaków tureckich", w kadrach których gdy nietylko sami Polacy lecz wszyscy Sławianie, a nawet wszelkiéj narodowości chrześcijanie znaleźli pomieszczenie, powstała myśl w emigracji popierana głównie przez ks. Adama Czartoryskiego i hr. Władysława Zamojskiego, podówczas jeszcze pułkownika, utworzenia legjonu turecko-polskiego wyłącznie z samych Polaków złożonego, jaki rzeczywiście Saraskierat turecki (ministerjum wojny) po długich z naszéj strony staraniach przyjęło, nominując Wł. Zamojskiego jego paszą jednobuńczucznym i oddając pod komendę Sadyka dwubuńczucznego paszy, to jest jenerała dywizji.

Wtedy to, gdy w Turcji wzmiankowany legjon turecko-polski formować się począł, nasz Ordon na propozycję ks. Adama Czartoryskiego, aby się udał na wschód i tam zorganizował polską artylerję, podał się do dymisji, a otrzymawszy takową dnia 5 maja 1855 r. udał się zaraz do Paryża.

Tam otrzymał rozkaz udania się do Londynu w celu spełnienia misji, z którą załączony tu dokument w wiernem tłomaczeniu z francuzkiego najlepiéj obznajmi czytelników:

Panie Poruczniku!

Przeznaczyłem Pana na dowódzcę oddziału znajdujących się w Anglji Polaków, tak oficerów, jak ochotników przeznaczonych do pułku polskiego Kozaków tureckich. Masz się Pan bezzwłocznio udać do Londynu i tam skomunikować z Komitetem emigracji polskiéj, zostającym pod wice-prezydencją p. Jackowskiego, a następnie obejmiesz Pan dowództwo nad tymi, którzy się już zapisali na liście, jak również i nad tymi, którzy się na niéj po Jego tam przybyciu zapiszą.

Wszelkie reklamacje i wszelkie prośby ochotników winny być Panu przedstawiane i przez Niego załatwiane.

Równocześnie upoważnionym Pan jesteś do nadzoru, przyjęcia i władowania na okręt wszelkiéj broni, jaką rząd angielski łaskawie dać zechce.

Zalecam Panu szczególniéj składać raporta Komitetowi wojskowemu, złożonemu z kilku wyższych oficerów pod prezydencją mego młodszego syna księcia Witolda. Z tym Komitetem masz się Pan porozumieć co do podziału i przeznaczenia sumy przez rząd angielski udzielonéj na koszta transportu.

W Konstantynopolu pan Droz, dyrektor kolonji polskiéj, będzie obowiązanym wysłać Pana dalej.

Oddając Panu dowództwo nad oddziałem ani na chwilę nie wątpię, że dopełnisz swego zadania jako dobry Polak (są słowa własnoręcznie wtrącone w text dokumentu przez księcia Adama) i jako zdolny i honorowy żołnierz, przyczém powtarzam Panu zapewnienie mego głębokiego szacunku.

Paryż dnia 8 czerwca 1855 r.

(L. S.) Ks. A. Czartoryski.

Z przytoczoném tu pełnomocnictwem Ordon bezzwłocznie udał się do Londynu, a po załatwieniu w ciągu dni kilku wszystkich interesów i po władowaniu broni i amunicji otrzymanéj od rządu angielskiego na okręt transportowy, wraz z swym oddziałem do 100 ludzi liczącym wsiadł do niego i w końcu czerwca szczęśliwie do Carogrodu zawinął. Ztąd przez Warnę wraz ze swymi ludźmi i amunicją wysłany był do Szumli, gdzie stali Kozacy tureccy i gdzie także formował się legjon turecko-polski, stanowiący pułk oddzielny tychże.

Legjon nasz w pierwszym swym zawiązku rządzący się regulaminem tureckim i noszący uniform czysto turecki, nie miał innéj właściwéj sobie indywidualności nad tę, że składał się z samych Polaków, którzy nie chcieli ginąć w kosmopolitycznym amalgamacie Kozaków tureckich. W chwili, gdy Ordon ze swymi ludźmi przybył do obozu, pułk nasz składał się już z pięciu szwadronów i formował kadry na szósty, które gdy zapełniono ludźmi przybyłymi z Anglji, powstała nowa szwadronowa komenda powierzona Ordonowi, mianowanemu wtedy na kapitana.

Po zorganizowaniu się naszego pułku z Szumli przeniesiono obóz do Warny, a ztąd wkrótce potém mimo zabiegów Sadyka-Paszy, nie mogącego znieść separatystycznych tendencji naszych legjonistów, aby cały jego obóz mogący się łatwo przewieść morzem do Synapy, ulokowano w jakiéj miejscowości w Azji Mniejszéj, przeniesiono do Burgas w Bulgarji, gdzie téż znaczne nastąpiły zmiany.

Trzeba wiedzieć, że nasi biorąc udział w wypadkach wschodnich, chcieli przynajmniéj pośrednio służyć sprawie ojczystéj, i że z obrotu, jaki wzięła formacja naszego legjonu, całkiém byli niezadowoleni, nie tyle już ze względów materjalnego bytu, który na etacie tureckim był bardzo mizerny i opłakany, bo na wszelkie poświęcenie byli przygotowani, ile ze względów politycznych, których W. Porta czy nie chciała, czy téż nie mogła, lub nie umiała uwzględnić. Wyczerpawszy więc nasi wszelkie środki, aby od Saraskieratu otrzymać indywidualność organizacji wojskowéj z uwzględnieniem narodowych uczuć, zwrócili się do Anglji, aby ta przyjęła ich legjon pod opiekę i tym sposobem zapewniła rozwój nowéj instytucji, mogącéj w wojnie wschodniéj nietylko Polsce, ale i państwom związkowym wielkie oddać usługi.

Rzeczywiście starania naszych pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały, bo Anglja na swój budżet przyjęła nasz legjon, lecz jakby obawiając się obudzić z uśpienia zmory św. przymierza i nie przestraszyć jéj zamiarem podniesienia kwestji polskiéj, jednocześnie zaczęła formować inne legjony: węgierski, niemiecki, włoski, po nad którymi naczelne dowództwo oddała jenerałowi Storks, późniejszemu ministrowi wojny. Musimy tu dodać, że jednym z głównych agitatorów odłączenia legjonu polskiego od Kozaków tureckich i oddania go pod opiekę angielską był nasz Ordon, który przez długie lata przyzwyczajony do systemu i porządku, jakie wszędzie panują w Anglji, nie mógl znieść nieładu i zamięszania w rządzie i administracji tureckiéj. Tego rodzaju agitacje i separatystyczne tendencje naszych legjonistów były powodem, iż Sadyk-Pasza nie życząc sobie tracić nad nimi dowództwa, pierwotny swój plan na ucho wszystkim patrjotom szeptany: „że zaledwie zostanie ze swymi kozakami na plac boju wysłanym, wkroczy z nimi na Ukrainę i zapuści się w głąb Polski, aby tam wywołać ogólne powstanie i przy pomocy szczęśliwych okoliczności zrzucić jarzmo moskiewskie“ tak dalece zmienił, iż starał się o przeniesienie jego w głąb Azji Mniejszéj, co mu wszyscy nie znający szczegółów i planów jego polityki za złe wzięli i posądzili o czysto egoistyczne widoki.

(Dokończenie nastąpi.)

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Dosiadłszy siwka przed gankiem starowiejskiego dworu, Artur podraźnił go ostrogą i wyciągniętym puścił kłusem. Lękał się on, żeby który z młodzieży nie zapragnął mu towarzyszyć, a czuł potrzebę samotności. Dopiéro gdy się znalazł w czystém polu, na bocznéj drodze, ściągnął cugle i stępem jechał wolnym. Noc była prześliczna. Na niebie ciemno-stalowém ani jednéj chmurki, tylko gwiazd mirjady błyszczały. Ziemia mgłą lekko osłonięta, oddychała wilgocią jesienną, i zdawała się spoczywać spokojna, marząca, spowita w obłoku białawym. Na prawo i na lewo z nad błotek

i bagnisk mgła ta w gęstych i białych kłębach fantastycznie falowała nad ziemią. Gwarne głosy nocy wiosennéj zamilkły. Ani derkacz nie wrzeszczał w trawie, ani bekas się nie wabił, ani przepiórka żeńców nie wołała. Zrzadka tylko chrapliwy głos kuropatwy odezwał się z pośród przydrożnych jałowców.

Wśród ciszy téj uroczystéj jechał powoli Artur milczący, zamyślony... Przed okiem jego ducha stawała na przemian to postać kochanki, to smutne przeczucie przyszłości... Po raz może setny w sercu jego rozpoczynała się walka zacięta, pełna bólów, kończąca się zwykle zwątpieniem i dziwną irrytacją. Artur kochał Polę całą potęgą namiętnego temperamentu i marzycielskiego usposobienia, a domyślał się i dziś, wiedział już nawet, że jest kochany... Ona mogła być jego, i nic na przeszkodzie nie stało, a jednak Karliński się wahał... Bo z drugiéj strony czuł, wiedział, wierzył że do walki przyjdzie, że powstanie wybuchnąć musi. Gdybyż przynajmniéj powstanie to miało prawdopodobieństwo powodzenia, nadzieję zwycięztwa!... Ale nie, im bardziéj wtajemniczał się w roboty, im więcéj pracował, tém jaśniéj widział Artur, że bój przyszły przegraną skończyć się musi. Wczoraj jeszcze miał słabą... ale miał nadzieję... Jeżeli się większość szlachty oświadczy, Wielopolski i Moskale zamiast drażnić i przyspieszać, będą dyplomatyzować, odwlekać, łagodzić... Zyska się więc czas, a czas był wszystkiém. Wysilenia całego narodu przez rok, dwa, trzy, stworzą środki materjalne, a rozwiną moralne siły. Straszna broń kwestji włościańskiéj da się wyrwać z rąk wrogich i załatwić.... może w tym czasie zdarzy się jakiś zewnętrzny wypadek i t. d. Tak rozumował Artur, ale dzisiejsze rozprawy ostatni błysk nadziei w nim zabiły... Przy tym rozdziale, jaki panował w narodzie, jasną było rzeczą, że wróg wybuch przyspieszy... i że wybuch ten słaby, nieprzygotowany, bezsilny, musi skończyć się smutną katastrofą.

Jednakże o usunięciu się od niego, o założeniu rąk Artur ani pomyślał nawet. Życie byłby oddał chętnie byle powstanie wstrzymać i odwlec, ale gdy to było niepodobném, sumienie kazało mu robić co mógł, by do walki zgromadzić siły i gdy bój się rozpocznie stanąć w szeregach walczących... Robił więc i był gotów na wszystko. I myśl ta nie byłaby nawet jednéj chmurki wywołała na czoło zuchwalca, który sto razy igrał z życiem, gdyby nie owa miłość nieszczęsna!...

Kochać... być kochanym... i nie nazwać ukochanéj swoją... raz choć nie przycisnąć jéj do serca... raz choć cichego szeptu miłości nie usłyszyć z ust różanych! To rzecz niemożliwa... Ale znów przykuć kobiétę do losu skazanego na stracenie człowieka, przyszłość jéj wpleść w przejścia, jakie jego czekają?... Godziż się to? Gdyby był pewnym że zginie, nie wahałby się... bo śmierć jego wróciłaby jéj wolność, ale jeżeli żywy wpadnie w ręce nieprzyjaciół, jeżeli konać będzie powoli, lata całe, gdzieś w kopalniach syberyjskich, cóż wtedy za życie nieszczęśliwéj? I dla tego to Artura postępowanie z Polą było tak dziwném, dla tego po wybuchach uczucia w zachwyt wprowadzających dziewczynę, następował chłód kłamany, przywodzący biedną do rozpaczy. Tak marząc i walcząc sam z sobą bohater nasz ani się spostrzegł, że długie mijały godziny, i z zamyślenia obudził się wtedy dopiéro, gdy wierny siwosz minąwszy parę wiosek i lasu kawał, idąc wciąż lekkim, posuwistym stępem, jakby się lękał przerwać marzenia pańskie, stanął jak wryty. Artur podniósł oczy i zdziwiony zobaczył przed sobą szare mury własnego domu. Koń zarżał, drzwi się otworzyły dębowe, a mały wyrostek zostawiwszy w oknie światło wybiegł konie odebrać...

Stary towarzysz i sługa Artura był już na ziemi i wyprzedzając pana żwawo wszedł na schody, żeby mu poświecić. Za nim zwolna, pełen jeszcze swych myśli postępował Artur. Korzystając ze słabego światła jednéj świecy, obejrzyjmy dom ten, któremu niewiele podobnych w naszéj Polsce już istnieje. Był to dwór wielki, zakrawający na pałac i tak też przez wieśniaków nazywany, murowany, o wielkich oknach, wysokim dachu, i piętrach nad frontonem i dwoma pawilonami. Nad wchodowemi drzwiami trochę otłuczony ale jeszcze bardzo wyraźny występował w ozdobach z armatury herb Jastrzębiów.

Dom ten postawiony w połowie XVIII wieku przez Jakóba Karlińskiego wojewodę malborskiego, zewnętrznie w zupełności, a wewnętrznie z małemi wyjątkami pozostał bez zmiany od czasu wybudowania.

Powodem tego było, że tam zamieszkiwały zwykle na starość pokolenia Karlińskich, dzieciom oddając albo inne majątki, albo eleganckie obok stojące oficyny. Starym nie chciało się zwykle robić zmian żadnych i budynek przetrwał wiek przeszło w téj saméj sukience, w jakiéj go wojewoda zostawił. Zestarzał się tylko nieco. Gzymsy gdzieniegdzie poodpadały i świeciły cegłą czerwoną; na jednym z kominów, istniejącym tylko dla symetrji, bocian założył olbrzymie gniazdo, stare o małych szybkach okna zastąpione zostały nowemi.

Po paru schodach ciosowych wchodziło się na ganek niepokryty, wyłożony flizami, a ozdobiony dwoma słupami granitowemi, na których również granitowe stały wazony.

Drzwi wielkie, ciężkie, dębowe, nabijane gwoździami prowadziły do wielkiéj sieni nieogrzewanéj, wyłożonéj także flizami, z których troje wielkich podwoi prowadziły: dwoje do dalszych pokojów, jedne do pałacowéj kapliczki. Nad drzwiami wisiały trzy obrazy przedstawiające w allegorji Europę, Azję i Afrykę. Kapliczka była maleńka z ołtarzem św. Stanisława Kostki, jakiegoś podobno krewnego Karlińskich, z dwiema ławeczkami dla dziedziców. Gdy jednak msza się odprawiała przy drzwiach otwartych, nabożni mogli jéj słuchać wygodnie z sieni i z ganku. Na prawo wchodziło się do wielkiéj jadalnéj sali, z sufitem o sztukaterjach surowego rysunku i mocno wystających, z ogromnym piecem i większym jeszcze kominem, z dwoma dębowemi, wmurowanemi w ścianach szafami. Sala ta mogła wygodnie pomieścić dwustu biesiadników. Z niéj wchodziło się do większéj jeszcze sali balowéj. Stary, kryształowy świecznik wisiał tu jeszcze u sufitu, a aksamitne, wzorzysto wytłaczane karmazynowe obicia choć zbladłe i wypłowiałe świadczyły jednak o dawnéj piękności téj komnaty. Druga obok niéj, mniejsza nieco, była jednak najciekawszą. Meble tu nawet, lustra weneckie, konsole mozajkowane, lamperje dębowe lakierowane biało ze złoconemi freskami, pyszne sztukaterje, obicie z ciężkiéj jedwabnéj materji z wdzięcznym deseniem wyobrażającym rozmaitéj wielkości ptaki, wszystko to było tak, jak niegdyś budowniczy wojewody urządził. Ściany téj sali okrywały portrety. Dwa największe wyobrażały dwóch mężów w pancerzach stalowych i w aksamitnych deljach. Był to ojciec wojewody, kasztelan płocki i sam wojewoda. Obok wojewody dwa mniejsze portrety ładnych bardzo kobiét przedstawiały żonę i córkę jego. Nad drzwiami wisiały trzy portrety synów wojewody, podkomorzego, biskupa i kawalera maltańskiego. Cała jedna ściana zawieszona była portretami dawniejszych protoplastów Artura w zbrojach i sutannach, w perukach i hełmach.

Karliński poprzedzony przez służącego ze świecą przeszedł wszystkie sale milczący, zamyślony i dopiéro ostatnią minąwszy, zatrzymał się w swoim pokoju. Tu już znać było życie i komfort XIX wieku. Pokój był mniejszy jak tamte, ale zawsze obszerny, wysoki, jasny. Między dwoma oknami stało olbrzymie biuro z czarnego dębu, zarzucone papierami, przed nim fotel wygodny, nad biurem wisiał portret znakomitego pędzla, wyobra-

żający w naturalnéj wielkości kobiétę młodą i piękną. Starego stylu dębowe meble naprzemian z n wemi, safianem krytemi zapełniały ten pokój. Podłoga cała pokryta była dywanem, cała jedna ściana zawieszona symetrycznie ułożoną bronią, wśród której brak było jednak używanéj dzisiaj. Ciężka, ciemno-zielona kotara zasłaniała wejście do sypialni, inne drzwi prowadziły do bibljoteki, trzecie nareszcie w ścianie ukryte, zdawały się maskować jakieś tajemne wyjście.

Stary sługa zdjął burkę z pana, wyszedł na chwilę, wrócił z lampą i postawiwszy ją na stole czekał w milczeniu, patrząc na młodego człowieka, który oparłszy czoło o szybę, machinalnie bębnił jakiegoś marsza. Piękna to była postać tego wiarusa siwego. Z pooranéj twarzy biła poczciwość wcielona, wąs siwy i spuszczony dodawał jéj powagi, a w siwych oczach patrzących na młodzieńca malowało się takie przywiązanie i uwielbienie zarazem, z jakiém niewielu ojców na synów swych spoglądać umie.

Długo trwało milczenie i cisza, przerywana tylko taktem bębnionego przez Artura marsza; nareszcie młodzieniec odwrócił się i spostrzegłszy stojącego sługę rzekł głosem serdecznym:

— Ah! Ty czekasz Antoni!... Przepraszam cię... Możesz odejść... musisz być znużony...

— Żartuje pan chyba... Co jabym był wart, żeby mnie sześć mil drogi konno zmęczyło?... Tylko panicz jakiś smutny!...

— Zdaje ci się mój drogi... tak oto, zamyślony jestem...

— Ejże... ja się znam na tém... a przecie toby się cieszyć wypadało... mamy pono niedługo wsiąść na konie... na dobre...

Artur uśmiechnął się smutnie, a późniéj dodał podnosząc głowę:

— No a jakże twoja robota?

— A cóż panie, dobrze... kowal, stelmach, oba włodarze, karbowy, pisarz, stolarz i karczmarz już złożyli przysięgę...

— A z chłopów nikt?

— E!... z nimi to trudna sprawa.. słucha, kiwa głową, wzdycha, a djabeł wié co myśli...

— Ale oni pójdą?

— To się wié! — ciągnął ożywiając się Antoni — chłop bo jak chłop... boi się i niedowierza, ale dla tego Moskalaby w łyżce wody utopił.

— Antoni jak cała ta warstwa pośrednia służby dworskiéj był wielkim arystokratą i na chłopa patrzał trochę z góry.

— Zresztą — dodał — gdzieindziéj może gorzéj ale u nas nawet chamy poszliby w piekło za paniczem.

Naiwne to pochlebstwo rozjaśniło twarz Artura.

— Daj Boże! — szepnął on; — a tamto?

— A idzie, proszę pana, pięćdziesiąt lanc mamy gotowych, i sto dwadzieścia kos... broń naszą wczoraj oglądałem... jak złoto... ani myśli rdzewieć... Jutro ma Mosiek przywieść znowu dwadzieścia funtów prochu i ołowiu pół centnara... to się zaraz kule uleją... będzie ich blisko pół korca niedługo...

— Dobrze... tylko ostrożnie!... pamiętaj...

— A ba! — rzekł z wyrazem pogardy starzec — niechby tylko jaka szelma spróbowała... dalibyśmy jemu. Mamy już na oku tego Wenzla z kolonji... i żebym tak nie bał się pana... to jużby wisiał...

— Antoni! — zawołał Artur z wymówką.

— Tak... tak... wiem o tém... pan się zaraz gniewa...

— A czy masz dowody?...

— Nie... ale jemu źle z oczu patrzy...

— Jakto?... i to wszystko... i na takich podstawach chciałbyś gubić człowieka?...

— Eh!... takiego tam pludra!...

— Antoni!... co ty mówisz!

— A prawdę mówię, proszę pana... Jak wojna, to wojna... my w rewolucję jak szpiega pyzychwyciliśmy, to na gałęź z nim... Kto nie z nami, ten przeciwko nam... i basta!...

— Antoni! proszę cię... żadnych gwałtowności... my od zbrodni rozpoczynać nie możemy...

— Zbrodni... zbrodni! — mruczał starzec — albo to zbrodnia szelmę powiesić... ale kiedy pan każe...

— Każę i proszę... No, a teraz idź spać stary... — i młodzieniec białą swą ręką uścisnął szorstką dłoń swojego sługi... W tém dotknięciu chwilowe nieukontentowanie znikło z pooranéj twarzy wiarusa, a miejsce jego zajął znów wyraz przywiązania i rzewności.

— Tylko niech panicz taki smutny nie będzie — mruknął schylając się i wyszedł.

— Gdy drzwi się za sługą zamknęły, Artur zbliżył się do biurka, wyjął z szufladki mały futeralik, otworzył go i długo się weń wpatrywał.

Była to fotografja Polci... Potém zwolna podniósł oczy na portret matki przed nim wiszący i tak siedział bez ruchu, zdawało się bez myśli... Tymczasem w duszy jego powstawały wspomnienia jedne po drugich, i cały obraz życia od pierwszych chwil dzieciństwa, aż po dzień dzisiejszy rozwijał się przed oczyma ducha.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Złote literki. Nowa książeczka dla dzieci przez Władysława Bełzę, z ryciną. Lwów 187?.

Trzecie to z porządku dziełko pióra p. Bełzy przeznaczone dla dzieci; jak dwa poprzednie tak i to napisane wierszem potoczystym i śpiewnym, nader łatwo wdrażającym się w pamięć. Podzielone na trzy części, z których pierwsza obejmuje wierszyki odnoszące się do dziejów Polski na każdą literę abecadła; druga mieści bajeczki i wierszyki treści moralnéj; trzecia w nakreślonych króciutkich obrazkach przedstawia panowanie każdego z królów polskich porządkiem chronologicznym. Książeczka jest więc pouczającéj i moralnéj treści; za pomocą harmonji wiersza stara się autor wpoić jedno i drugie w pamięć i serce dziecięce. I dopiął jak najlepiéj zamierzonego celu; przebiegając jéj stronnice zdawało nam się, iż widzimy różowe twarzyczki z ciekawością pochylone nad książeczką, czasami uwaga ich więcéj natężona, a niekiedy wyraźne zawstydzenie maluje się w ich oczach, czując się jakby schwytanemi na gorącym uczynku, braku litości, uporu lub kaprysu.

Pan Bełza w swym rodzaju jest niepospolitym psychologiem, z zadziwiającą trafnością odgaduje dusze dziecięce; drobna ta na pozór książeczka ułożona jest z wielką znajomością natury małych czytelników.

Nowa ta praca utalentowanego autora wypłynęła z pod jego pióra z lekkością i wdziękiem jemu właściwym; wieje z niéj świeżość i czystość prawdziwie dziecięca.

Książeczkę rozpoczyna rycina przedstawiająca dzieciątko Jezus, rozciągające rączki na krzyżu. U stóp

jego klęczy czworo dzieci, modląc się gorąco do Zbawiciela świata.

Wstępny wierszyk pod napisem „Do dzieci“ przytaczamy tu w całości, daje on jasne wyobrażenie o treści i formie dziełka:

— Złote literki? czemuż to, czemu,
Złote koniecznie być mają? —
Zda się że słyszę, jak po dawnemu,
Znowu mię dziatki pytają?

— Złote literki?... — Tak, drogie dzieci!
Bo w złote słówka się plotą,
Bo w każdéj imie praojca świeci,
Czyste i lśniące jak złoto!

Bo one mówią wam o téj ziemi,
Krwią przodków zlanéj i potem..
I ozdobionéj czyny wielkiemi,
Niby perłami i złotem!

Niech więc przed waszą duszyczką młodą
Roztoczą złote swe wrota!
I niech cię dziatwo miła zawiodą,
Gdzie przyszłość twoja lśni złota!

W drugiéj części książeczki zajął nas prześliczny wierszyk pod napisem „Szczygieł.“ W prostéj i naiwnéj szacie lśni on barwami prawdziwéj poezji. Jest w nim skreślone stworzenie świata, zastósowane do wyobraźni dzieci.

Zwracamy uwagę matek na to nowe dziełko pana Bełzy, należy ono bowiem niewątpliwie do cenniejszych pereł w tym dziale naszego piśmiennictwa.

†

Żywy nieboszczyk, komedja w 1 akcie Benedyksa, przerobił Józef Dobrowolski. — Kraków 1872.

„Żywy nieboszczyk“, pomimo tytułu komedji, jest mierną fraszką sceniczną, zdolną tylko chwilową wywołać wesołość. Szczęśliwego więc wyboru tłomaczowi powinszować nie można. Przekład gładki, niekiedy razi germanizmem; zastosowanie zaś utworu do polskiego świata byłoby wcale udatnem, gdyby bohater téj fraszki zamiast do ambasady w Madrycie, wyjeżdżał z Poznania n. p. jako sędzia do prowincji nadreńskich. — Pochwalić nam tylko wypada skromność i wstrzemięźliwość tłomacza. Gdyby młodzież nasza stosownie do sił i zdolności zajęła się w chwilach swobodnych przekładem obcych celniejszych utworów, wyrzekając się oryginalnych dramatów i komedji, słyszelibyśmy lepsze przekłady na scenie, mniéj zaś rozlicznych słabostek. —

Pamiętniki Sulerzyskiego Tom II. Kraków, 1872.

Ogólną charakterystykę rzeczonych pamiętników podaliśmy w piśmie naszém po wyjściu tomu pierwszego. Tom drugi mniéj zapewne zainteresować zdolny czytelników, ponieważ autor spisał w nim wypadki prywatnéj przeważnie natury. Mimo to niejeden epizod homeryczną prostotą a polską prawdziwie fantazją i werwą przypomina nieśmiertelne pamiętniki Paska. — Słusznym wreszcie przejęci jesteśmy żalem z powodu zarzutu zbytniéj dla niemieckiego języka predylekcji, jaki nam autor uczynił w streszczeniu ostatniego rozdziału. Zarzut ten niema żadnéj podstawy i jest zapewne wynikiem albo całkiem mylnych pogłosek, albo chwilowego rozdrażnienia, którego ślady w téj części pamiętników, z niemałym dla przedmiotu uszczerbkiem, zbyt często spostrzegać się dają. — Przyjaciele i wielbiciele cnót powszechnie znanéj, typowo patrjarchalnéj postaci p. Sulerzyskiego, będącéj niejako żywym obrazem narodowych cierpień i niespożytéj wiary w rychłe odrodzenie Ojczyzny, czytać będą te pamiętniki z zajęciem i silném współczuciem dla twardych kolei losu, jakim autor aż zbyt często ulegał, dzięki zaciętości Niemców i niestety własnych swoich rodaków. Istotna wartość i doniosłość pamiętników p. S. z dzisiejszego punktu widzenia nie da się dość jasno określić. Dla wnuków naszych i prawnuków będą one cennym materjałem do zaznajomienia się z epoką i ludźmi, pośród których żył, działał i bolał czcigodny autor.

Piękne za nadobne. Humoreska pana Władysława Sabowskiego. — Poznań, nakładem M. Leitgebra i Sp. 1872.

Nie zawsze dzieło chwali mistrza — dowód leży przed nami. Pan Sabowski-Skiba dobiwszy się w stosunkowo niedługim przeciągu czasu rozgłośnego imienia, napisawszy niezliczoną ilość książek i artykułów najrozmaitszéj treści nie wyczerpnął wprawdzie bogatego zasobu swéj fantazji, lecz skierował ją na przedmioty zalegające sutereny towarzyskiego życia, których nieustanne poruszanie żadną miarą za zasługę poczytaném mu nie będzie.

P. Sabowski zajmuje jako powieściopisarz jedno z najwybitniejszych stanowisk w dzisiejszym literackim świecie, kierunek zatém i charakterystyka dzieł jego nikomu obojętną być nie może; postaramy się podać ją naszym czytelnikom w obszerniejszym artykule w ciągu tego lata, zwracając się zaś dzisiaj do wspomnionéj humoreski, zapytamy się przedewszystkiém autora jaki jéj cel? Co czytelnik wyniesie z przeczytania téj książeczki? Nie jest to powieść lecz humorystyczny obrazek — nie mogąc zatém wywierać wpływu wielkiém obrazowaniem uczuć, namiętności, charakterów i t. p. odnośnie do przewodniéj myśli, mógł był autor lekkim szkicem odwzorować i ośmieszyć jednę z powszednich wad i pociesznych ułomności, jakie na każdym kroku spotykać się dają. W humoresce, o któréj mowa, niema ani komicznych sytuacji, ani werwy, ani nawet wesołego humoru. Cóż więc znajdujemy na tych 63 str.? Historję naturalną pospolitego płazu, kaleki na ciele i duszy Czesława Dusia. Sam bohater i całe jego nieliczne otoczenie to taka pospolita miernota — całe medium w którém się rzecz dzieje tak podrzędne, od świata i ludzi oderwane, że istotnie wydziwić się niepodobna, że pegaz p. Sabowskiego nie pogardził plewami rozsypanemi w tak obskurnym żłobic. Taż sama myśl wcielona w inne postacie wzięte z téjże samėj sfery poduiosłaby się do znaczenia humorystycznéj charakterystyki, tak zaś jest umiarkowanie nudną opowieścią — c'en est pas trop. —

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

o

RZECZACH POLSKICH.

— W pismach węgierskich ogłasza publicysta polski, p. **Władysław Gołemberski**, następującą odezwę do przebywających w Węgrzech Polaków!

„W r. 1772 padła Polska ofiarą przemożnych sąsiadów. Instynkt narodowy pragnął podnieść stuletnią téj smutnéj doby rocznicę, aby okazać, jak mocno synowie Polski boleją nad nieszczęściem ojczyzny, jak wiernymi pozostali idei narodowéj i zachowali wolę wydobycia się z głębokiéj przepaści.

„W jedynéj prowincji polskiéj, posiadającéj swobodniejsze bytu warunki — w Galicji — zamanifestowano to pragnienie zamiarem krzepkiego poparcia wychowania ludu, téj najlepszéj rękojmi przyszłości. W myśl tego powszechnego poczucia utworzył się we Lwowie komitet do zbierania składek na rzecz wychowania ludowego. Komitet ten otrzymawszy pozwolenie władz dotyczących, wezwał ogół ludności do udziału w tem dziele miłości i zarządził co potrzeba do zapewnienia mu pomyślnego skutku. Dzieło to można z całą słusznością nazwać „przedsiębiorstwem woli narodowéj.“ Zebrane w ten sposób fundusze będą w miarę swéj wysokości użyte. Powszechny udział kraju odpowiada wzniosłemu celowi i nie przesądzając, można już teraz skonstatować, że narodowe życie w Galicji już się żywo manifestuje na godnym obszarze wychowania ludu.

„W takiem dziele jest wszelka pomoc pożądaną, każdy grosz złożony miłym. Z upoważnienia głównego komitetu lwowskiego udaję się do was, ziomkowie, którzy bądź stale, bądź czasowo zamieszkujecie Węgry gościnne i patrjotyczne, abyście i wy się przyczynili do tego przedsiębiorstwa narodowego. Licznemi subskrypcjami złóżcie świadectwo, że i w was jedno z narodem bije serce! Niechaj się dowiedzą obcy, pomiędzy którymi przebywacie, że zasługujemy na cześć i przyjaźń narodów, że wiernie i jednomyślnie staramy się o przysporzenie sił narodowych ojczyźnie! A więc w imię hasła: „Na szkoły ludowe! Niech żyje Polska!“ zapraszam was do udziału w dziele narodowem!“

Uważamy za nasz obowiązek powyższą nadesłaną nam z Semlina odezwę przytoczyć tu dosłownie, niemniéj jednak dodać winniśmy, iż **myli się** pan Gołemberski twierdząc że „jedynie tylko w Galicji“ wzięto się do składek na oświatę ludu. Nasze Księstwo i Prusy zachodnie nie wiele mówiły a zebrały już poważne sumy, Galicja zaś, smutno wyznać, wiele narobiła hałasu a zrobiła we Lwowie bardzo mało — w Krakowie zaś — **nic**!! W Krakowie **nic**!! —

* * *

— Donoszą nam z Krakowa, że **Wincenty Pol** wydaje nowy poemat p. t. „Myśliwstwa;“ początek ma być cudnéj piękności...

Z tegoż samego źródła dowiadujemy się, iż słynny nasz ziomek **Ignacy Domejko**, prof. uniwersytetu San Jago w Chili przyjeżdża do Europy i ma zamiar odwiedzić Poznań i Kraków.

* * *

Bibliografija bieżąca:

— **Berlicz Sas**. „Szkice myśliwskie Ukrainy“ — z natury. (Strzecha.)

— **Chłędowski, Kazimierz** „Po nitce do kłębka“, powieść. (Kraj, Nr. 77 sqq.)

— **Dajsenberg, Dr.** „Dzieje filozofji prawa i państwa“. Zeszyt pierwszy obejmuje szkic historji filozofji starożytnéj, średniowiecznéj i nowéj aż do Hegla. Treść tego zeszytu zbyt szczupłą jest jeszcze do ocenienia wartości naukowéj dzieła, mającego aż w 4-ch tomach przedstawić „dzieje cywilizacji, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów prawa i państwa“, — dostateczną jest jednak do poznania stanowiska, z jakiego autor zapatrywać się będzie na traktowany przedmiot. Streszczając bardzo pobieżnie poglądy nowszych filozofów (przed Heglem), autor często, zupełnie nie w porę, zwraca się do obecnego kierunku filozoficznego, lamentuje nad „dzisiejszem skarłowaceniem umysłowem“ i przepowiada krucjatę „przeciw temu nowoczesnemu egoizmowi, materjalizmowi, przeciw téj nie do opisania nędzy moralnéj, temu straszliwemu znikczemnieniu społecznemu, jakie pod nazwą pozytywizmu właśnie po dziś dzień więcéj niż kiedykolwiek w świecie réj wodzą“. Autor jest wprawdzie tyle łaskaw, iż zezwala ludzkości dążyć po drodze postępu, zastrzega jednak, aby nawzajem postęp tyle był dyskretnym, iżby omijać zechciał sferę religji i moralności. (Prz. Tyg.)

— **Dziędzielewicz, J.** „Ważki“. (Przyrodnik.)

— **Feydeau, E.** „Hrabina Chalis“, powieść z francuzkiego, przez W. G. — „Przegląd polski“, podając rozbiór powieści Kraszewskiego p. t. „Piękna pani“ zwrócił uwagę na wielkie jéj podobieństwo do wydanego przed kilku laty romansu Ernesta Feydeau, i dał poznać, że polski autor naśladował francuzkiego. Recenzent nie byłby podnosił tego zarzutu, gdyby był wiedział, kiedy Kraszewski napisał powieść swoją, albowiem „Piękna pani, wydana w r. przeszłym we Lwowie, jest dosłownym przedrukiem publikowanéj przed kilkunastu laty w Warszawie Syreny. Naśladowanie więc było niemożliwém, a przecież jak wielkie podobieństwo! Tu i tam kobieta zamężna, lekka, zalotna, i bez serca tyranizuje zakochanego po uszy guwernera, darząc go przelotnie odrobiną swych względów — tu i tam nie zrażony niczem amant poświęca wszystko dla swéj ukochanéj, awanturującéj się tymczasem z innymi i obchodzącéj się z nim nielitościwie, tu i tam guwerner dla zmiennych faworów płochéj i występnéj wietrznicy odrzuca rękę poczciwéj dziewczyny, tu i tam mąż, znający stosunki, jakie zachodziły między guwernerem a żoną, poleca mu śledzenie jéj kroków — w zakończeniu tylko różnica. Francuzowi potrzeba było koniecznie mordu, a więc każe biednemu suchotnikowi, hrabiemu Chalis, zadusić uwodziciela hrabiny, księcia Titiane. Polak oszczędził czytelnikom tak silnego wzruszenia. Zakończenie autora polskiego ma za sobą prawdę, francuzkiego morał, bo Feydeau wsadza hrabinę do domu obłąkanych, guwernera zaś poprawia, podczas gdy Kraszewski kończy zgodą pomiędzy „Piękną panią“, a tyjącym coraz bardziéj kochankiem. Nie potrzeba dodawać, że bohaterka powieści francuzkiéj, pospolita kokotka, stoi nierównie niżéj od pani Laury Kraszewskiego. (Gz. W.)

— **Gaultier** ob. Tatomir.

— **Głowacki, Aleksander**. „O Elektryczności“. (Niwa)

— **Jachna, Dr. J.** „Gady i płazy galicyjskie.“ (Przyrodnik.)

— **Janota, Dr. E.** „Bóbr“. (Przyrodnik.)

— **Kubala**. „Mikołaj Kopernik i Marcin Luter“, rozprawa zamieszczona w zeszycie marcowym Biblioteki Warszawskiéj — Autor twierdząc, że reformacja nie była dobrodziejstwem dla ludzkości, wnioskuje, że wszelka rewolucja jest klęską dla ludzkości i nie zaprowadzi nigdy do celu. Przeciw tym zapatrywaniom się na przyczyny i skutki dziejowe występuje stanowczo postępowy Przegląd Tygodniowy w Nr. 13.

— **Leves, J. H.** ob. Masłowski.

— **Liebig, Justus**. „Wiedza zastosowana do Rol-

nictwa i Fizjologji". Tom wstępny. Kraków, nakładem Tłómacza, 1871. — „Chemja zastosowana do Rolnictwa i Fizjologji", podług ósmego wydania przełożona za upoważnieniem autora, tom i zeszyt pierwszy. Kraków nakładem Tłómacza, 1872. — Na wstępie „Chemji" starając się zbijać przytoczone zdania dr. Juljusza Au, twierdzi tłomacz, że nauka Libiga, pomimo zawad jakie p. Au jéj stawiać usiłuje, musi wejść do Polski, wejdzie i rzecz swoją spełni.

— **Litwin.** „Polska i Rosja w r. 1872". (Dziennik Polski.) — i

— **„Marzenia o pojednaniu się Polski z Moskwą"**, — są to rozbiory dziełka p. t. „Polska i Rosja w 1872 r. przez b. Członka Rady Stanu, król. polskiego.

— **Masłowski, Ludwik** przełożył z drugiego wydania angielskiego J. H. Levesa „Fizjologię codziennego życia", wydaną w Krakowie.

— **Ochorowicz, Juljan.** „Gawędy psychologiczne". (Opiekun domowy.)

— **Orzeszkowa, Eliza.** „Pajęczyna". Jest to obrazek zręcznie skreślony na tle staréj jak świat nauki moralnéj, że nie należy grać w karty, że wypada unikać szulerów z profesji i być ostrożnym w zawieraniu nowych znajomości w podróży. Treść téj powieści jest następująca: Władysław N., niedoświadczony student, jadąc z cudzemi pieniędzmi, dostaje się pomiędzy szulerów, i zgrywa się do ostatniego grosza. W chwili rozpaczy zjawia mu się rodzaj opiekuńczego anioła w postaci kobiety, podrzucającéj biedakowi pieniądze na podróż i dającéj mu arcy-zdrowe rady. Taż sama pani znająca dobrze oszustów, których ofiarą stał się p. Władysław, radziła mu „ledwie dosłyszalnym szeptem", aby był ostrożnym. (G. W.)

„Ranny", 1870—1871, powieść tłomaczona z języka francuzkiego. (Gaz. Warszawska.)

— **Sabowski, Wł. = Skiba Wołody.** „Nieszczęśliwa", powieść. (Strzecha)

— **Suszczyński, Władysław.** „Beitrag zur Casuistik der Resection des Kniegelenkes "

— **Sznabl, Dr. J.** „Zwierzęta przejściowe między kręgowemi". (Przyroda i Przemysł, Nr. 14.)

— **Szumski, Stanisław.** „Ueber Beckenabcesse bei Männern."

— **Tatomir Lucjan** przejrzał i poprawił szóste wydanie „Geografji powszechnéj" Gaultiera, które wyszło obecnie nakładem Karola Wilda we Lwowie,

— **Wiślicki, Adam.** „Podręczna Encyklopedja powszechna." Zeszyt V, od Baden do Becu.

— **Wołowski, Bronisław.** „Z Pamiętnika Tułacza. Legion polski we Francji 1870 i 1871 r." (Gazeta Toruńska.)

— **Zacharjasiewicz, Jan.** „Widoki familijne"; powieść. (Gazeta Polska)

— **Zawadzki, Bronisław.** „W Krainie Sztuki", prolog alegoryczny. (Świt.)

* * *

— Wychodzący w Warszawie Dwutygodnik „Niwa" wypisał konkurs na najlepszą rozprawę **O Tegoczesnym u nas handlu zbożowym** z premjum 120 rubli srebrem. Termin ostateczny nadsyłania prac konkursowych jest dzień 1 stycznia 1873 roku.

* * *

— Równocześnie wyznacza wydawany w Warszawie tygodnik popularno-naukowy p t. „Przyroda i Przemysł" sto rubli sr. nagrody konkursowéj za najlepszą rozprawę na temat **„Wpływ nieczystości miejskich na skład wody wiślanéj podczas niskiego stanu rzeki."** — Premium za pracę najlepszą udzielone zostanie d. 4-go lutego 1873 r, t. j. w dzień czterechsetletniéj rocznicy urodzin Kopernika, ztąd też nosić będzie nazwę „nagrody imienia Kopernika". Ostatnim terminem złożenia rozprawy jest 1-szy styczeń 1873 r.

Nagroda ta co rok wyznaczaną będzie za najlepsze prace przyrodnicze oryginalne dotyczące naszego kraju, które następnie wydrukowane zostaną kosztem Redakcji w „Bibliotece poszukiwań krajowych", stanowiącéj oddział „Biblioteki Nauk Przyrodniczych".

* * *

— Dr. Zimmermann, profesor przy wszechnicy wiedeńskiéj, przygotowuje podobno głębokie studjum w języku niemieckim nad „Irydjonem" **Z. Krasińskiego.**

* * *

— **Muzeum Narodowe w Rapperswyl** wzbogaciło się w tych dniach bardzo ważnemi dokumentami; pomiędzy niemi znajduje się dar historyczny p. Jerzego Struve inżyniera rodem z Warszawy. Jest to manuskrypt przeszło sto arkuszy mający, znakomitego filologa ś. p. **Pietraszewskiego**, pod tytułem: „Wypadki z dziejów styczność z dziejami Turcji mające, od początku zjawienia się Muzułmanów w Europie aż do traktatu zawartego z Rosją w Kaïnardzi 1776 roku, wypisane z chronografów tureckich i przetłómaczone na język polski."

Drugi obszerny manuskrypt **Pietraszewskiego** nosi tytuł „Materjały do Historji polskiéj z Roczników tureckich wyjęte". Tłomacz tak się o nich wyraża dla wiadomości wydawcy.

„W tych rocznikach jest mowa o wojnie Turków z Moskalami, która przez konfederatów Barskich wywołaną była. Są to nader drogie wypisy z powodu że dotąd mało prawdziwie wiemy o téj kilkuletniéj wojnie, nie mogąc dać wiary Rocznikom Moskiewskim zanadto jednostronnym."

Na końcu znajduje się następna uwaga:

„Pisałem w Berlinie 12 lipca 1852 roku przy najlepszem zdrowiu, chociaż z bolem serca, żem od Prusaków w nauce mojéj wyzyskiwany, a przyzwoicie niekarmiony; lecz da Bóg przyszłość lepszą."

Wspomnieć jeszcze muszę o manuskrypcie **Jana Potockiego** pod tytułem „Manuscrit trouvé à Saragosse, seconde partie". Są to pamiątki godne ze wszech miar gościć w przybytku polskich penatów.

Katalog Muzeum drukuje się obecnie w trzech językach. **Album Historyczne** Muzeum Narodowego, którego manuskrypt jest już ukończony, ma wyjść z druku w ciągu wiosny. Będzie to edycja ozdobna z drzeworytami. Redakcja się składa ze starszyzny piśmiennictwa polskiego. O ile nam wiadomo znajdować się będzie korrespondencja dyplomatyczna nader ciekawa złożona z kilkudziesiąt listów dotąd nieznanych; rozprawa o zaborach szwecko-moskiewskich bibliotek i muzeów polskich, spis wygnanych Polaków na Sybir od wojen S. Leszczyńskiego do roku 1860, i wiele artykułów znakomitych historycznych i literackich.

* * *

— W tych dniach wyjdą w Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego **„Listy Hugona Kołłątaja w emigracji"** z r. 1792, 93 i 94. — Zebrane w dwóch tomach przez Lucjana Siemieńskiego ze wstępem tegoż.

— Nakładem Karola Wilda we Lwowie wyjdzie wkrótce **„Geografja dla użytku Seminarjów nauczycielskich"**.

* * *

Rozmaitości:

— Wychodzący w Krakowie Przegląd lekarski powtarzając z ubolewaniem wiadomość, że **zjazd lekarzy i przyrodników** w Poznaniu nie odbędzie się tego roku, — i przypuszczając, że to zapewne w skutek wyraźnego zakazu władz pruskich, oczekuje bliższych wyjaśnień i wstrzymuje się na teraz od dalszych w téj mierze uwag.

POKŁOSIE.

— **Gaillardin, Cas.** Histoire du règne de Louis XIV.

— **Galli, St.** Memorie storiche di Massa Marittima, edite per cura di Olinto Comparini, con note, documenti ed illustrazioni.

— **Gallo, T. A. S. F.** Suppetiae evangelii praeconibus qui madurensem missionem excolunt.

— **Galloway, W. B.** Physical fact and scriptural record; or, eighteen propositions for Geologists.

— **Garcin de Tassy.** La langue et la litérature hindustanies en 1871.

— **Garnier-Pagès.** Histoire de la commission exécutive. — Tom drugi, zawierający okres czasu od 15go maja do czerwca 1848 roku.

— **Gaspard, E.** Abbaye et chapitre de Poussay.

— **Geiger, L.** Ursprung und Entwickelung der menschlichen Sprache und Vernunft. — Autor, za pośrednictwem badań lingwistycznych, rozjaśnia jedno z najbardziéj zawiłych i ciemnych zagadnień w dziedzinie początkowych dziejów rozwoju umysłu ludzkiego, dowodząc, że pomiędzy myślą ludzką a mową zachodzi stosunek zależności i że przez wzgląd na to, początek mowy pobudza do wniosku o historycznym początku rozumu ludzkiego. Na téj drodze autor dochodzi do rezultatów mających niezmierne znaczenie, tak dla pierwotnéj historji człowieka, jako też dla systemu filozoficznego, osnutego na rzeczywistéj doświadczalności ducha. Krytyka niemiecka nazywa dzieło to znakomitą pracą. Drugi tom dzieła Geigera jest już zupełnie ukończony i gotowy do druku, lecz ukazaniu się jego na widok publiczny przeszkodziła nagła śmierć autora. W pozostałych po Geigerze rękopismach znaleziono bogaty materjał do trzeciego tomu.

— „Der Ursprung der Sprache“ — Dzieło to jest popularném opracowaniem tego, co autor miał zamiar wyłożyć w powyżéj wymienioném wielkiém swojém dziele. Po ocenieniu hipotez myślicieli starożytnych i nowożytnych, co do pierwotnego początku mowy ludzkiéj, autor bada mowę na podstawie spostrzeżeń pozytywnych, wnikając w najbardziéj tajemniczą sferę jéj pierwiastkowego powstania. Odgraniczając ściśle inteligencję ludzką od zwierzęcéj, Geiger wykazuje historycznie, że duch ludzki zajmował kiedyś stanowisko pośrednie. Na końcu dzieła podana jest teorja rozwoju ludzkości samego autora, jako też wzajemny stosunek jego poglądów filozoficznych na rozum i świat, do zapatrywań się na téż kwestje Kanta i Epikura. (Nw.)

— **Genée, Rudolf.** Shakespeare's Leben und Werke.

— **Genovesi, Vinc.** Sulla teorica delle idee, ragionamento critico.

— **Gerber, Gust.** Die Sprache als Kunst.

— **Gérin, Ch.** L'affaire des Corses en 1662—1664.

— **Germer-Durand, E.** Découvertes archéologiques faites à Nimes et dans le Gard, pendant l'année 1869.

— **Gervinus, G. G.** Hinterlassene Schriften — zawierają rozprawy treści politycznéj z lat 1866 i 1870.

— **Giambastiani, I. A.** Sulla costruzione del porto di Viareggio.

— **Giebel, Dr. C. G.** Thesaurus ornithologiae. Repertorium der gesammten ornithologischen Literatur und Nomenclator sämmtlicher Gattungen und Arten der Vögel, nebst Synonymen und geograghischer Verbreitung. — Część pierwsza tomu pierwszego. — Krytyka zarzucając autorowi niestaranność w układzie całego dzieła, wykazuje mu błędy i niedostatki w pojedyńczych ustępach. (Lit. Centr.)

— **Giesecke, Robert.** Moritz von Sachsen, Geschichtliche Tragoedie. — Drugi nakład; nowe opracowanie przedmiotu.

— **Gifford, W.** Works of Ben-Johnson, with notes, critical and explanatory, and a biographical memoir.

— **Goeppert, Dr.** Ueber einheitliche, zusammengesetzte und Gesammt-Sachen nach römischem Recht. — Autor stawia twierdzenie, że podany przez Pomponiusza podział rzeczy miał swój początek w nauce Stoików, i udowadnia je całym szeregiem nowych po największéj części cytatów. (Lt. Ctr.)

— **Goetzinger, Ern.** Litteraturbeiträge aus Sanct-Gallen.

— **Goltz, B.** Zur Charakteristik und Naturgeschichte der Frauen.

— **Grandeffe, Arthur de.** Mobiles et Volontaires de la Seine.

— **Gredt, Dr.** Die Luxemburger Mundart.

— **Grion, Giusto.** Cronaca di Dino Compagni opera di Anton Francesco Doni. — Autor, uczony dyrektor gimnazjum werońskiego, w monografji pod powyższym tytułem wydanéj, stara się dowieść, że Dino Compagni, do dziś dnia uważany za autora kroniki florenckiéj, jest tylko przywłaszczycielem cudzéj pracy, któréj prawdziwym twórcą jest ksiądz Antoni Franciszek Doni z Monsalice około 1500 r. żyjący. P. Grion opiera swoje twierdzenie na wielu sprzecznościach i błędach prostéj niewiadomości, jakie znaleść można w kronice Dino Compagni, porównywając ją z autentycznemi dokumentami z owéj epoki. Wykazuje daléj niespokojne, pełne przygód i podejrzane życie księdza Doni, jego stosunki ze współczesnemi a mianowicie z Aretinem i dowodzi z wielkiém prawdopodobieństwem, że Dino Compagni nie mógł napisać téj kroniki, a natomiast jéj właściwym autorem jest ksiądz Doni. Kwestja ta jest dosyć ważną i niezawodnie p. Grion wywoła pewne spory, jakie już miały miejsce co do prac Mattea Spinelli i Gierolamo Malespini. (Nw.)

— **Grosse, Julius.** Meister Dürer's Erdenwallen, dramatisches Charakterbild in einem Aufzuge.

— **Guglielmotti, P. Ab.** Storia della marina pontificia nel medio evo, dal 728 al 1499.

— **Guizot, E.** Le duc de Broglie.

— **Haberland, Friedr.** Der Seidenspinner des Maulbeerbaumes, seine Aufzucht und seine Krankheiten.

— **Hagen, Dr. F. W.** Eine gerichtlich-psychologische Untersuchung. — Głównym przedmiotem téj rozprawy jest osoba skazanego w czerwcu r. 1868 w Monachium Gustawa hr. Choryńskiego, którego chorobę umysłową poczytując autor jako manję, wybuchłą nagle, w jesieni 1868, bez poprzedzającego okresu zadumowego, połączoną już zawczasu z tępotą umysłu, a przechodzącą dość prędko w niedołęztwo niedowładowe, — wyklucza możebność powstania téj choroby w skutek wzruszeń umysłowych, jakich Choryński musiał doznawać od chwili uwięzienia aż do przewiezienia go do fortecy. Oparty na powyższym przykładzie dowodzi dr. Hagen konieczności przypuszczania poczytalności zmniejszonéj w procedurze sądowo-lekarskiéj. (Prz. lek.)

— **Hager, Dr. Herm.** Untersuchungen. Ein Handbuch der Untersuchung, Prüfung und Werthbestimmung aller Handelswaaren, Natur- und Kunsterzeugnisse, Gifte, Lebensmittel, Geheimmittel etc. — Tom pierwszy. — Autor przeglądając krytycznie dawniejsze badania, stara się widocznie o wyczerpanie swego przedmiotu. (Lt. Ctr.)

— **Hahn, Ed.** Die richtigsten der bis jetzt bekannten Geheimmittel und Specialitäten mit Angabe ihrer Zusammensetzung und ihres Werthes.

— **Halek, Witosław.** V prirode, = W przyrodzie. Zbiór pieśni.

— **Hallwich, Dr.** Zur Geschichte des Teplitzer Thales.

— **Hamburger, Dr. W.** Klinik der Oesophaguskrankheiten mit diagnostischer Verwerthung der Auscultation dieses Organs.

— **Hamer, Dr. Joseph, von.** Tycho-Brahe und J. Kepler in Prag.

— **Hamilton, Fr.** La Botanique de la Bible, étude scientifique, historique, littéraire et exégétique des plantes mentionnées dans la sainte Ecriture.

— **Haneberg, B.** Das muslimische Kriegsrecht. — Prawo wojenne Muzułmanów opiera się przeważnie na Koranie, który w tym względzie nakazuje, ażeby dopóty walczyć z niewiernymi, dopóki świat cały nie uzna ich Boga Przewodniczącą więc myślą prawodawcy Mahomeda była uniwersalność Islamu, co też w innych religjach spotykamy pod nazwą jednego pasterza i jednéj trzody. Wyższość przecież zasad chrześcijańskich polega na tem, że Chrystus każe walczyć słowem przekonywającem i przykładem, podczas gdy prorok muzułmański nakazuje walkę mieczem i pochodnią. Do téj walki zobowiązanym jest każdy Muzułman a w danym razie nawet i kobiety. Walczącym obiecuje Mahomet rozkosze raju, wtrącając do piekła tych, którzy nie chwytają za oręż. Zawarcie pokoju wtedy tylko nastąpić może, skoro nieprzyjaciel przyjmie wiarę Islamu lub skoro się uzna wazalem zwycięzcy; każdy inny sojusz uważanym będzie za zawieszenie broni. — Ostatnich wieków dzieje świadczą, o ile Turcy się zdobyli na wykonanie myśli swego proroka-prawodawcy.

— **Hansen, P. A.** Entwickelung eines neuen veränderten Verfahrens zur Ausgleichung eines Dreiecksnetzes mit besonderer Betrachtung des Falles, in welchem gewisse Winkel voraus bestimmte Werthe bekommen sollen.

— **Harley, C.** The urine and its derangements; with the application of physiological chemistry to the diagnosis and treatment of constitutional as well as local diseases.

— **Haushofer, Dr. K.** ob. Weber, J. O.

— **Hartpole Lecky, William E.** Die Stellung der Frauen, Deutsch von Dr. H. Jolowicz.

— **Haushofer, M. Dr.** Lehr und Handbuch der Statistik, in ihrer neuesten gechichtlichen Entwickelung.

Hausrath, A. Die oberrheinische Bevölkerung in der deutschen Geschichte. — Mieszkańcy w ziemiach Wyższego Renu, zmięszani z Celtów, Alemanów, Romanów i Franków, tworząc, wedle autora, ludność jednolitą pod względem charakteru i usposobienia, pochodzenia i zdolności, cnót i niecnót, — odzyskają swoją dawną odrębność, skoro ziemie te, wyleczone, zrosną się znów w jedną całość, (Lit. Centr.) — czyli innemi słowy: skoro nad niemi zapanuje upojona jeszcze ostatniemi zwycięztwami Teutonia.

— **Hébert, M.** Le Néocomien inférieur dans le midi de la France.

— **Heffter, Dr. Aug. Wilh.** Die Sonderrechte der souveränen und der mediatisirten vormals reichsständigen Häuser Deutschlands. — Autor, którego dzieło o Prawie międzynarodowem posiadamy w przekładzie polskim, pierwszy od czasów Jana Stefana Pütter — 1789 — przedstawił systematycznie i wyczerpująco prawa całéj wyższéj szlachty niemieckiéj. (Nw.)

— **Heine, Hermann.** Von Oben. Soziale Gedanken; — poemat.

— **Heinze, Dr. M.** Die Lehre vom Logos in der griechischen Philosophie.

— **Hemardinquer.** De Apollonii Rhodii Argonauticis. — 2, La Cyropédie, essai sur les idées morales et politiques de Xenophon.

Skrzynka do listów.

Szanownych naszych prenumeratorów zawiadamiamy stanowczo, że Tygodnik wydaje się najregularniéj co Piątek wieczór na pocztę w zapisanéj liczbie exemplarzy. Poczta zatem winną jest dostarczyć Tygodnika każdemu prenumeratorowi na czas, i na téj poczcie, gdzie się składało przedpłatę, natychmiast po opuźnieniu którego z numerów reklamować należy. Chętnie z naszéj strony zadawolnialibyśmy reklamujących, jeżeli jednak niezawsze uczynić to możemy, to także nie nasza lecz szan. prenumeratorów wina, opóźniając się bowiem często aż do połowy kwartału z odnawianiem przedpłaty nie pozwalają nam uregulować ilości nakładu, który zastosowany do ilości zapisanych exemplarzy w pierwszych dniach kwartału, wyczerpuje się potem i niedozwala zadość uczynić późniejszym reklamacjom. Dla uniknienia zatem wszelkich niedogodności i oszczędzenia nam kosztów, które przy niesłychanéj taniości naszego pisma obojętnemi nam być nie mogą, ponawiamy prośbę o odnawianie przedpłaty na poczcie w pierwszych dniach kwartału. **Przy téj sposobności zawiadamy naszych czytelników, że redakcja nasza gotową jest na wszelkie stosowane do niéj listowne zapytania w rzeczach dotyczących spraw naukowych, literackich, artystycznych i ekonomicznych dawać odpowiedzi i informacje pod odnośnemi literami w skrzynce do listów, jak to ma miejsce w pismach zagranicznych.** Zapytania takie są świadectwem, iż publiczność czyta i nie jest obojętną na ruch umysłowy w świecie. Dotąd mieliśmy niestety mało podobnych świadectw. —

* * *

P. K... R... w Lubece: Jeżeliście uważnie czytywali nasz Tygodnik, musieliście, Szanowny Panie, zauważyć, iż Pokłosie nasze rozwijając się bezustannie, zmierza do pewnego celu, którego przecież walcząca z przeszkodami Redakcja od razu dopiąć nie mogła. Jak na początku zeszłego ćwierćrocza rozłączywszy od Pokłosia Wiadomości o rzeczach polskich, utworzyliśmy nowy dział w naszém piśmie, tak zamierzamy z czasem opracowywać rzeczy sławiańskie, a Pokłosie przeznaczyć wyłącznie dla przedmiotów zagranicznych. — Sławiańszczyzna niestety była dotąd prawie obcą naszemu czytającemu Ogółowi; dziennikarstwo nasze mało się nią zajmuje z obawy, by je nie posądzić o dążności panslawistyczne; nasz Tygodnik zaś jest pierwszem pismem z pod zaboru pruskiego, które, o tyle o ile może, konsekwentnie się zajmuje rzeczami sławiańskiemi. Brak przecież stosunków przyjacielskich w pośród szczepów pobratymczych utrudnia nam urzeczywistnienie naszych w tym względzie zamiarów. — O czcionki czeskie postara się nasza drukarnia

— P. Ad... M... z Sm.. pod B...: Odesłaliśmy z podziękowaniem poezje Kazimierza Rudeckiego. — Za rocznik należy się nam 2 tal

— P. Drożyńskiemu w Semlinie. Za łaskawą pamięć — Bóg zapłać — prosimy o jeszcze.

OGŁOSZENIA.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.